

Spacer nad Credit River. Część 2.

Ewa Stachniak (*Toronto*)

Tłumaczenie: Krzysztof Zarzecki



Fot. Jacek Gwizdka.

Schodząc z naszego domu do Credit River trzeba przejść koło małego jeziorka. Gdyśmy się tu wprowadzali, jezioro było dwa razy większe, ale z każdym rokiem pomniejsza je gromadzący się u brzegów muł i z upływem czasu brzegi zarosła kwiecista fioletowa krwawnica, tłamsząc inną roślinność. Jednakże kiedy szliśmy tamtędy z mamą owego lipca, widziało się jeszcze kwiaty dzikiej marchwi i nawłoci, a między nimi tylko niewielkie wysepki fioletu.

Ojciec zmarł przed siedmioma miesiącami i niepokoiłam się wciąż o mamę. Sprawiała czasami wrażenie zagubionej, jakby mózg jej się kurczył i obłuzowywał, niczym orzech wysychający w łupinie. Przez większość czasu nie dostrzegało się nic, aż nagle jakaś drobna rzecz wprawiała ją w panikę, na przykład niemożność przypomnienia sobie, gdzie zostawiła okulary. Mogła z tobą rozmawiać i raptem się zrywała, biegła do swojego pokoju, sprawdzić, czy ma w torebce okulary albo

gdzie schowała klucze do swego warszawskiego mieszkania. Zdarzało jej się to dwa, trzy razy w ciągu godziny, tak jakby żadna z poprzednich kontroli nie była wystarczająca.

Mama szła szybko, tuż koło mego boku. Kącikiem oka widziałam jej lekko zgiętą postać, rwącą do przodu. Raptem się zatrzymała, żeby zrobić głęboki wdech, jakby pijąc powietrze, łykając każdy jego haust i wydychając go z długim westchnieniem. Linie na jej policzkach się pogłębiły. Schudła, dłonie zrobiły jej się kościste, ostre. Rano spała długo, śniadania przygotowywałam jej obfite, z zupą mleczną, wędliną, jajecznicą. Myłam i krajałam rzodkiewki, paprykę, dymkę. Jadła zachłannie, po czym upierała się przy ręcznym zmywaniu, żeby nie zużywać zbyt wiele wody.

- Jak tu spokojnie - mówiła - tak cicho.

Uważałam, że to dobry znak, że wszystko jeszcze przed nami.

Pogrzeb, o którym mama mówiła, nie był to pogrzeb ojca. Miała na myśli pogrzeb swego starszego brata, Tadka, który umarł w 1955 roku. Miał trzydzieści cztery lata i zginął w wypadku motocyklowym. Nikt wówczas nie nosił kasków; było mokro; usiłował wyminąć rowerzystę. Jego pasażer i rowerzysta wyszli z wypadku bez szwanku, Tadek żył jeszcze tylko kilka godzin.

- Umarł nie odzyskawszy przytomności - powiedziała mama.

Pamiętam wujka mętnie i tylko dlatego, że mi go przypominano. Kiedy umarł miałam trzy lata. "Nie pamiętasz? - dziwiła się babcia załamującym głosem.- Nie pamiętasz, jak cię lubił? Nazywał cię K ę d z i o r e k" - i wkrótce zaczynało mi się wydawać, że go pamiętam. Gdzieś wśród papierów mam do dziś czarno-białą fotografię wujka Tadka w trumnie, w czarnym garniturze, z twarzą na zdjęciu nieostrą, lecz surową. Przez jego prawą skroń przebiega cienka, popszarpana linia, blizna.

Byłyśmy nad morzem, gdy to się wydarzyło. Na wakacjach. Rano kopałam dołki w miękkim, mokrym piasku na skraju plaży, okładałam je muszlami i czekałam, aż fale Bałtyku wypełnią je słoną wodą. Po południu siedziałam w zatłoczonym pociągu, między mamą a babcią, obiema z bladymi twarzami, trzęsącymi się rękami. Na wszystkie pytania słyszałam upomnienia, żebym, na miłość Boską, cicho siedziała. Wiele lat później mama mi powiedziała, że nie wiedziały wówczas,

co się właściwie stało. Kiedyśmy przyszedli z plaży, czekał na nas w domu telegram od dziadka: "Syn nie żyje stop wracajcie natychmaist stop".

W roku śmierci Tadka na naszej ulicy straszły jeszcze ruiny, wielkie kupy gruzu, porośnięte trawą, łopianem, kępkami kłujących ostów. Po zakończeniu wojny ojciec wygrzebał spośród ruin dwa skórzane fotele, białe żelazne łóżko, dębowe biurko, parę pogiętych garnków. Pokleił nóżki foteli, wyprostował garnki, w okna wprawił grube metalowe pręty.

- Byłaś wtedy takim grzecznym dzieckiem - mówiła mama. - Potrafiłaś się godzinami bawić sama. Nigdy się nie dąsałaś ani nie płakałaś. - Przypominała, jak siedziałam przeglądając grube białe kartki przedwojennej encyklopedii, która stała na półce; szczególnie interesowały mnie plansze przedstawiające części ciała ludzkiego, każda chroniona cienką mleczną bibułą. - Mogłaś się w nie wpatrywać bez końca - ciągnęła mama, a ja zachodziłam w głowę, co mogło mnie w nich tak fascynować. Zwoje mięśni, żył i arterii czy też surowa prostota kośćca? - Przez jakiś czas myślałam, że zostaniesz lekarką - powiedziała mama z nutką rozczarowania w głosie, którą starała się stłumić. - Mniejsza o to - zakończyła i machnęła ręką.

Wszystko, co pamiętam z tego okresu, to babcię z nabiegłymi krwią oczyma, wargami zaciśniętymi w grymas bólu, śladami zębów na kostkach dłoni. Chodziła w czarnej sukni i czarnych pończochach, wychodząc nakładała czarny kapelusz z woalką. Wieczorami przesiadywała w mroczniejącej kuchni, wolno obracając pierścionki na palcach. Potrafiła tak siedzieć godzinami, wpatrzona w szarzące okno, szkielec domu naprzeciwko, z kikutami ścian i pustymi ramami okien. Kiedy zapalałam światło, mierzyła mnie takim wzrokiem, jakby ujrzała ducha.

- Wypłakiwałam sobie oczy po śmierci Tadka - powiedziała mama. - Teraz już nie potrafię płakać. Nawet po moim mężu.

Z warg ocierałam jeszcze ze wstrętem lepkie nitki przędzy, chociaż wyszliśmy już na otwartą przestrzeń nad rzeką, gdzie już ich nie było.

- Tak ci powiedziała? - zapytałam. - Babcia ci tak powiedziała?

Czułam wzbierający gniew, który mi podchodził pod gardło.

- Tak - odparła mama. - Zaraz po pogrzebie powiedziała: "Wolałabym, żebyś to ty

zginęła zamiast niego”.

- A coś ty jej odpowiedziała? - spytałam.

- Nic - odrzekła mama przyspieszając kroku.

Na policzki i szyję wystąpiły jej plamy, czerwone, nabiegłe krwią. Kiedy się z nią zrównałam, nie patrzyła na mnie, jej oczy biegały na boki, na drzewa, na rzekę. Wszędzie, tylko nie na moją twarz. Ale ja nie miałam zamiaru ustąpić.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś?

- Kochała go bardziej - wyznała wtedy. - Był jej synem. - Ważyła każde słowo wypowiadając je, jakby nim zdumiona, ogłuszona. - Tego nie można odmienić.

Kiedyś próbowałam opowiedzieć Patrickowi o moim pierwszym dniu w Kanadzie. Leżeliśmy w łóżku, przywarci do siebie, zlani potem, nasze serca dudniły krwią. Przebiegałam palcami po włosach na jego piersi, robiłam w nich małe korytarzyki, potem je wygładzałam. Łóżko było skotłowane, skrzypiało lekko za każdym naszym poruszeniem. Zrobiłam głęboki wdech, usiadłam, z poduszką pod plecami, i powiedziałam mu, jak wszystko w Kanadzie, nawet śmieci w pojemnikach, wydawało mi się niewiarygodnie kolorowe i jak się włóczyłam godzinami po ulicach, gapiąc się na wystawy, chora z zazdrości.

- To wspaniałe! - pochwalił ze śmiechem, tak jakbym powiedziała coś szczególnie inteligentnego, utrafiła w jakieś sedno, o którym nie miałam pojęcia. - Tak być powinno!

Twarz Patricka wyglądała śmiesznie na łóżku, odwrócona, z uśmiechem zakrzywionym w dół, oczami przymkniętymi od góry. Przesunęłam palcami po jego wargach, pociągnęłam go za wąsy, a on chłapnął zębami, ale nie dość szybko, żeby złapać moje palce. Roześmiał się. Śmieliśmy się oboje. Potem się obrócił, pociągnął mnie za nogi, tak że zjechałam z poduszki, wylądowałam obok niego i czekałam, aż rozsunie mi językiem zęby. Ramiona miał silne, gładkie, pachnące mydłem.

Opowiadania Patricka nie płynęły gładko. "Nie mam gadanego" - mawiał i ustawał akurat w miejscu, gdzie jego opowieść zaczynała się stawać ciekawa. Zrobiłam się

mistrzem delikatnych ponagleń, słów obracających się w pieszczotę.

Patrick miał osiemnaście lat, kiedy komisja poborowa w San Francisco wezwała go na badania lekarskie. "Jak człowiek przeszedł, to był ugotowany!" - oświadczył unosząc lekko podbródek, wygładzając wierzchem dłoni rudawą bródkę. Opowiedział mi o wezwanych, którzy zażywali proszki na pobudzenie tarczycy, objadali się cukrem i symulowali cukrzyków. Opowiedział o pewnym facecie, który się przebrał za kobietę i rzucił do całowania sierżanta z komisji. Próbowałam sobie wyobrazić Patricka jako amerykańskiego hippisa w rozkloszowanych spodniach, etaminowym wdzianku, ze skórzanym naszyjnikiem z paciorków i białych kłów, kroczącego w marszu protestacyjnym.

Kiedy otrzymał powołanie, ojciec dał mu samochód, wręczył dwadzieścia tysięcy dolarów i kazał uciekać na północ. Wyobraziłam sobie, jak jedzie swoim żółtym Volkswagenem garbusem do Kanady, z długimi włosami, z czerwoną chustą na szyi. Wizję stałego pobytu otrzymał od razu na granicy. Jadąc ścisnął kierownicę tak mocno, że go jeszcze długo potem bolały dłonie, ale nie uważał, że zdradza swoją ojczyznę.

"Nie chcę wracać do kraju w trumnie - rozumował. - Nie będę umierał za imperialistycznego molocha ani palił jakichś pieprzonych nędzarzy napalmem".

Był wówczas marksistą. W pokoju miał afisz z podobizną Mao, palił haszysz i podziwiał chińską Czerwoną Gwardię.

- Czerwoną Gwardię? - zapytałam. - Podziwiałeś Czerwoną Gwardię?

- Uważałem, że świat trzeba zmieniać... - zaczął i urwał.

- Przez zabijanie nauczycieli, zsyłanie ludzi na reedukację do obozów pracy? - zapytałam wciąż nie dowierzając własnym uszom.

W Polsce wiedzieliśmy, że jest nam źle, ale nawet w najgorszych okresach, kiedy w sklepach był tylko ocet i groszek w puszkach, nigdy nie zamienilibyśmy się z Chińczykami.

- W tamtych czasach bym ci powiedział, że gwardia narodowa strzela do protestujących studentów na uniwersytecie w Kent.

- A teraz? - zapytałam.

- Teraz bym powiedział, że byłem idiotą, zaślepionym idiotą - odparł, a ja czułam jedynie, jak jego język sunie po mojej szyi, pozostawiając wilgotny ślad.

Patrick był uprzednio żonaty i ma dwie córki, Daisy i Heather, dziewiętnasto- i szesnastoletnią. Daisy została właśnie przyjęta na Uniwersytet Trent, ale odmówiła uczęszczania na jakiegokolwiek kursy biznesowe. Postanowiła zamiast tego iść na studium zagadnień kobiecych. Gdyby miał ponownie dzieci, mówił Patrick, wychowałby je w żelaznej dyscyplinie, posyłał do najlepszych prywatnych szkół w kraju. Nigdy więcej tych permissywnych psychodelicznych pierdołów, którym tak długo hołdował.

Czemu, zapytałam go kiedyś, gdy właśnie od nich wrócił i chodził tam i z powrotem po pokoju, zatrzymując się tylko, żeby wyrzeć przez okno. Działo mi na nerwy to jego wygląkanie, jakby oczekiwał czyjegoś nadejścia, nadejścia osoby, której nawet nie znam.

- Żeby im dać szansę w życiu - odparł. Usiadł wreszcie, wyciągnął nogi na tapczanie. - Żeby nie były takimi ofiarami. Umiały się bronić. Świat się kurczy, a one marnują czas.

Na skarpetach miał drobne supelki zmechacenia, zanotowałam sobie w pamięci, żeby je wyrzucić.

- To moja wina - powiedział uderzając pięścią w dłoń, co też już nie raz widziałam. - Powinienem je był trzymać twardą ręką.

Westchnęłam i wyszłam do kuchni, kończyć obiad. Patrick przyszedł za mną. Był zawsze taki po widzeniu z córkami, drażliwy, poirytowany. Zdumiewało mnie nieodmiennie, jak jawnie maluje się to na jego twarzy, jak zwęża i zagina się jego górna warga, jak ściągają i rozszerzają się tuż pod skórą naczyńka krwionośne.

Ułamał kawałek bagietki, którą właśnie przyniosłam ze sklepu. Była jeczczcie ciepła, okruszki sypały się po całej podłodze. Jadł za dużo, pod białą koszulą widziałam jego zaokrąglający się brzusek. Kotlety były gotowe, wszystko, co mi pozostało, to rozetrzeć kartofle na purée w mikserze. Kiedy skończyłam, Patrick starł palcem z jej krawędzi puszystą białą masę i oblizał palec do czysta.

Erindale Park stanowił tego lata schronienie przed falą upałów; dało się tu wciąż

swobodnie oddychać, spacerować nie zalewając się potem. Po rzece brodzili rybacy w długich zielonych gumiakach. Łowili teraz pstrągi. Na jesieni mieli wyciągać wielkie zielonkawe łososie, które płynęły pod prąd składać ikrę. Pod koniec października brzeg będzie usłany ich gnijącymi zewłokami, odciętymi łbami o rozdziawionych szczękach i wyłupiastych, martwo ślepiących oczach.

Mam wiele fotografii babci. W młodości była elegancką kobietą. Na jednym ze zdjęć siedzi na ławce, z nogą na nodze, z dłońmi splecionymi na kolanie. W tle landszaft z drzewem i rzymskimi ruinami, kolumną przeciętą w połowie, zakrzywionym portalem u dołu. W latach 1930 taka sceneria uważana była widać za romantyczną. Twarz babci okalają ciemne loki, jej oczy były już wówczas puste, melancholijne, zranione. Na rok przed śmiercią obcięła krótko włosy, zaczęła nosić długie kalesony, spodnie, pantofle na płaskim obcasie. W ciężkim, podbitym futrem palcie wyglądała jak żołnierz maruder.

W sercu nosiłam gniew na babcię. Miałam jej za złe wiele rzeczy. Szepty w kuchni, sposób, w jaki mi wykręcała rękę.

- Miejsce matki jest w domu, a nie w tym jej i n s t y t u c i e. - Wymawiała to słowo jak obelgę, ostro, z naganą, głośniejszą niż inne. - Zadzwoń do niej - żądała - zobaczymy, czy rzeczywiście tam jest.

- Dlaczego?

- Dzwoń. Rób, co mówię! - syczała, a ja nakręcałam numer instytutu i prosiłam telefonistkę, żeby mnie połączyła z mamą.

- Co takiego? — Głos mamy był w pierwszej chwili zawsze wystraszony.—Stało się coś?

- Nie, nic takiego - mówiłam.

Widziałam ją, jak stoi w swojej małej pracowni z zapachem formaliny i kurzu, prawą dłonią trzymając się za to miejsce nad sercem.

- Zapytaj ją, kiedy wróci - przynaglała babcia trącając mnie łokciem.- Zapytaj własnej matki, kiedy wróci do domu, do rodziny.

- Kiedy wrócisz? - pytałam potulnie.

- Niedługo - odpowiadała mama, roztargniona teraz, pochłonięta już czym innym. Nasz telefon był czarny, słuchawka ciężka. Głos dobywał się z niej zniekształcony, jak z głębokiej, wąskiej studni. - Nie czekajcie na mnie z obiadem. Zaczynajcie jeść sami.

- Co powiedziała? - dopytywała się babcia. - Co powiedziała?

- Żeby na nią nie czekać z obiadem - odpowiadałam i uciekałam.

Ale nie mogłam nie słyszeć głębokich westchnień babci i zbyt głośnego brzęku talerzy, których omal nie rozbijała. Co do taty zaś, to zbywał milczeniem zatrute strzały, jakie wysyłała babcia.

- Miejsce żony jest w domu - obwieszczała przy stole - a rzeczą męża jest tego dopilnować.

Tata kiwał głową i podnosił do ust łyżkę z zupą.

- Wyśmienita zupa, mamó - mówił. - Co za smak.

- Robię, co mogę, ale są granice. W sklepach pustki - burczała babcia i przenosiła uwagę na mnie. - Nie mlaskaj. Siedź prosto. Łokcie ze stołu.

- Słuchaj babci - wtórował tato, a ja mu posyłałam wściekłe spojrzenie.

Kiedy mama wreszcie wracała, zjadała co babcia postawiła przed nią na talerzu, po czym uciniała swoją drzemkę. To jej sekret, powtarzała zawsze, ta jej zdolność zasypiania o każdej porze dnia, we wszystkich okolicznościach. Kiedy nadchodziła pora, żeby ją obudzić, otrząsała się ze snu z trudem, jakby powracała z drugiego końca świata, twarz miała pomiętą i czerwona, toczyła wzrokiem dokoła pokoju, próbując zrozumieć, gdzie jest i co to wszystko znaczy. Siadała, rozcierała twarz dłońmi, po czym szła do kuchni pomagać babci. Słyszałam znad odrabianych lekcji ich wznoszące się i opadające głosy. Długie monologi babci i krótkie przytakujące mruknięcia mamy.

- Zawsze jej przytakiwałaś - wypaliłam, kiedy mama się schyliła po jakiś odłamek skalny.

Przed zakrętem rzeki było odsłonięte zbocze skalne. Tablica ostrzegała: "Uwaga! Spadające kamienie!" Mama oddzieliła płaską warstwę łupka, przełamała ją w pół.

Pokrywały ją długie linearne wzory.

- Nic szczególnego - powiedziała odsuwając łupek dalej od oczu. - Cefalopody i korale. - Kamień powrócił na usypisko. - Może nie powinnam ci była tego mówić - odezwała się po chwili. - Nie chciałabym, żebyś tak pamiętała babcię.

- A jaką chcesz, żebym ją pamiętała? - zapytałam głosem zbyt wysokim, zbyt napiętym, żeby tego nie usłyszała.

Mama się zatrzymała i stała, jak mi się wydawało, zbyt długą chwilę. Przestraszyłam się, że zapomniała, co mi ma powiedzieć, ale się myliłam.

- Chcę, żebyś pamiętała, że bez jej pomocy nigdy bym sobie nie dała rady - powiedziała. - Nigdy bym nie była w stanie połączyć pracy i rodziny. Nigdy. - Po czym, ruszając do przodu, obróciła się do mnie i szepnęła: - A nigdy naprawdę nie pragnęłam niczego innego.

Nim doszliśmy do zakrętu rzeki, mama zwolniła kroku, więc zaproponowałam, żebyśmy wracały. W domu mama ucięła sobie popołudniową drzemkę, a ja usiadłam w kuchni i oglądałam dziennik na małym telewizorku. Konflikt w miasteczku Oka się zaostrzył. Drogi do cmentarza Indian Mohawk w Kanestake zostały zablokowane, padły strzały. Na ekranie widziałam czołgi i żołnierzy w mundurach khaki ustawiających się w szereg bojowy. Potem kamera przesunęła się na grupkę Indian w koszulkach i dżinsach z obciętymi nogawkami, którzy bili w bębny i śpiewali.

- Koszt ogólny konfrontacji w Oka wyniesie wkrótce ponad dwieście milionów dolarów - powiedział później ktoś w wywiadzie telewizyjnym. - Przekracza to znacznie wartość rynkową terenów, do których Mohawkowie roszczą sobie pretensje, a które miasto chce przeznaczyć na tor golfowy.

Minęła może godzina, gdy mama wyłoniła się ze swego pokoju z wyrazem popłochu na twarzy.

- Znalazłam to w swoich rzeczach - oznajmiła wręczając mi czerwoną chustę. - Ty ją tam położyłaś?

- Dałam ci ją - odparłam. - Nie pamiętasz?

- A, rzeczywiście, dałaś - powiedziała trochę za szybko. Zmarszczyła czoło i

zdawało mi się, że widzę w jej oczach łzy. - Jaka ja niemądra! Oczywiście, że mi dałaś!

Wieczorem byłyśmy obie w kuchni, przygotowując obiad. Ja właśnie zbiłam sześć kawałków wieprzowiny na kotlety, a mama wcierała czosnek i majeranek w różowe mięso, kiedy kącikiem oka dostrzegłam w ramie drzwi Patricka, rudawość jego brody i jego wysoką muskularną sylwetkę. Miał na sobie koszulkę i dżinsowe szorty, w jednej ręce trzymał trzy kieliszki, w drugiej butelkę merlota. Otworzył butelkę, nalał do swojego kieliszka odrobinę wina i przed spróbowaniem podniósł go do światła, podziwiając rubinową barwę trunku. Widziałam, jak kiwa kilkakrotnie głową z uznaniem, nim podniósł kieliszek do ust.

- O czym, panie, tak rozprawiacie przez cały dzień? - spytał.

Mama posłała mi pytające spojrzenie, więc jej przetłumaczyłam.

- O niczym, kochany - odparłam. - Mama opowiada mi różne stare historie.

- To świetnie.

Patrick ma miły głos, kiedy chce się przypodobać. Gładki, miękki, słodki jak miód. Głos podobał mi się w nim od początku, kiedy jeszcze musiałam z niego wyciągać opowieści, historyjki z okresu jego kalifornijskiego dzieciństwa, wszystko, co pamiętał. Jak to było, kochać się w wielkich amerykańskich krążownikach szos nad brzegiem oceanu? Migdalić się, iść na całość?

- Fiu! - odpowiadał ze śmiechem. - Chcesz spróbować?

Mama siekała teraz cebulę w maleńkie, doskonale równe, mięsiste kostki. Zapaliła świece, żeby oczy nie łzawiły jej od zapachu cebuli.

- Obawiałem się, że rozmawiacie o mnie - powiedział nalewając wino do trzech kieliszków. Podał je nam, po czym zapytał: - Czy wszystko w porządku?

Obróciwszy się zobaczyłam, że mama ma wzrok utkwiony w twarz Patricka, w jego lekko wylupiaste oczy, w czerwonawe fałdki skóry pod nimi. Kręciła głową, jakby coś było niezupełnie w porządku, ale ona nie może, jak na razie, zdecydować, co to takiego. Pamiętam, że doznałam potem uczucia nieokreślonej satysfakcji, gdy dostrzegłam, jak mama marszczy czoło.

- Więc za zdrowie pięknych pań! - powiedział Patrick unosząc z niepewnym uśmiechem kieliszek. - Za to się pije w Polsce, prawda? I diablo słusznie!



Ewa Stachniak, fot. Mark Reynes Roberts.

Pierwsza część opowiadania:

<https://www.cultureave.com/spacer-nad-credit-river-czesc-1/>

Opowiadanie ukazało się w „Odrze”.